

Dlatego trzeba się pospieszyć, skrócić tę długą opowieść, nawet gdyby wypadało z niej to, co ważne, i wspomnieć o ostatnim składniku kanapki.

A więc szynka.

Świnia, której lewa przednia noga została ugotowana i wylana do taniej prostokątnej blaszanej formy, wykutej w nielegalnej hucie gdzieś w Brazylii, ta świnia była bezimienna. Tak jak bezimienna była maciora, która ją oprosiła, a potem została razem z kośćmi i skórą przemielona na psią karmę (specjalne zamówienie irackiej armii), i tak jak bezimienna i przemielona na psią karmę była maciora, która oprosiła ją, i maciora, maciora maciory, aż do siódmego czy dziewiątego pokolenia w długim, półstuletnim łańcuchu bezimiennych świń, które prosiły się na wielkiej farmie na południe od Lipska, skąd puszkaszynek, konserwy turystyczne, pasztety i karma dla psów wojskowych nadchodziły od 1950 roku. Wtedy brygada złożona z więźniów, morderców, bandytów i gwałcicieli, przestępców politycznych i sowieckich jeńców wojennych, głównie Niemców, Rumunów i Chorwatów wziętych do niewoli w bitwach pod Kałaczem i Stalingradem i jakimś cudem ciągle jeszcze żywych, w trzy miesiące zbudowała obiekty dla farmy, na której jednocześnie będzie się tuczyć na ubój po dziesięć tysięcy świń. W owym czasie była to największa tuczarnia świń w Europie, skąd, kiedy wiosną 1951 zacznie działać, będzie się rozchodził straszliwy, infernalny smród, który będzie dusił Lipsk i rozlewał się, na północ, do Berlina i dalej, aż do Bałtyku, albo na zachód, poza granice Republiki Federalnej Niemiec, a jej obywatele, dzięki temu chlewowi, tej gnojowce tytanicznych rozmiarów, wyrobią w sobie wobec rodaków ze wschodu nienaprawialne uprzedzenia, które będą przechodzić z pokolenia na pokolenie i trwać, nierozcieńczone, gdy Niemcy się zjednoczą i gdy od zjednoczenia miną dziesiątki lat.

Świnia, powiadają, jest zwierzęciem o strukturze DNA najbardziej podobnej do człowieka.



Kiedyś, twierdzą futuryści i marzyciele, nauki medyczne tak się rozwiną, że zostaną wyhodowane świnie, których organy będzie się przeszczepiać ludziom. Nie bójcie się, jeśli wasze serce osłabnie, kardiolodzy wyrwą serce młodego wieprzka i wszczepią wam w piersi. Pijacy będą mogli pić do woli, bo w razie marskości będzie na nich czekała świeża świńska wątroba, palacze będą palić, obżartuchy żreć, a młodym matkom, tak mówią, będzie wszystko jedno, czy urodzą dzieci z ciężką wadą mózgu, bo w głowach prosiąt na specjalnym oddziale będą rozwijać się i rosnać zastępcze dziecięce mózgi. Dla ludzkości będzie to czas szczęścia i dobrobytu, kiedy w przeszłość i do historii odejdą wszystkie człowiecze lęki i strachy.

Wtedy, powiadają, ostatecznie zniknie literatura i nikt nie będzie się wstydził swojego nieoczytania, bo bez lęków i strachów nie ma powieści, opowiadania, sonetu.

Ze świńskimi trzewiami człowiek osiągnie nieśmiertelność, a nieśmiertelni nie potrzebują literatury. Ich nie ma powodu pocieszać. Ich melancholia jest nieukojoną, nieskończoną jak wszechświat.

Tak będzie kiedyś, gdy człowiek nauczy się wykorzystywać swoje podobieństwo do świń. Do tego czasu zostaje mu jedynie smród chlewu, który najdelikatniejszy nos, nos wirtuoza, mozartowski nos, z trudem odróżniłby od ludzkich gównien. Tylko że ludzkość już od kilku tysięcy lat stara się znaleźć dla własnych odchodów formę bardziej do przyjęcia, kanalizację, szambo, fosę otaczającą królewskie fortece, i już od kilku tysięcy lat z kwiatów róży i lawendy, z gruczołów samotnych morskich potworów, z kory drzew, z cynamonu i goździków wyciska wonne olejki, żeby ukryć woń własnych gównien. Z powodu zapachów prowadzi się wojny, z powodu olejku różanego wymordowano całe narody, oblegano Jerozolimę, a święty Franciszek odwiedził sułtana i z ich rozmowy, najważniejszej rozmowy w historii zachodniej cywilizacji, wynikło przekonanie, że ludzie wyznający prawdziwą wiarę i wiarę fałszywą są braćmi i że każde gówno śmierdzi tak samo.



I każde śmierdzi jak gównu świni.

Te narody, którym nie udało się ukryć własnego smrodu, ponieważ żyły w ubóstwie, ponieważ zamieszkiwały okolice bez róż, jaśminu i lawendy albo dlatego, że ich zmysł węchu skarłał, te narody były narażone na pogardę większych i lepiej pachnących, a ta pogarda urastała do nienawiści i usprawiedliwień ich wytępienia. Nienawiść do śmierdzieli przenosiła się jako fakt kulturowy od powieści rycerskich, przez eposy narodowe i lirykę miłosną, i przetrwała aż do nowych czasów, tych, kiedy wszyscy bez wyjątku żyli w czystości i wonności, oddzieleni od własnych odchodów. I dopiero wtedy, w dwudziestym wieku, masowo ginęli, byli mordowani i wypędzani, a ich małe miasteczka zrównywano z ziemią, bo więksi i silniejsi sąsiedzi w swoją kulturę, w powieści, symfonie i arcydzieła malarstwa narodowego wpisali uprzedzenie, że tamci śmierdzą, i bez tego uprzedzenia nie byłoby arcydzieł narodowego malarstwa, symfonii, powieści i kultury narodowej, więc mordercy nie mogli inaczej ratować własnej kultury, niż mordując, wypędzając i paląc cudze miasteczka.

Tak, powiedzmy i to, było, tak w epileptycznej malignie wydaje się naszemu Babukiciowi, a tak też w swoim nigdy nieopublikowanym dziele twierdził Baruch Rothstein, galicyjski Żyd, nauczyciel w Jeszowie na peryferiach najuboższego ze wszystkich ubogich galicyjskich sztetli, który od wczesnej wiosny do pierwszych śniegów spowijał smród wielkiego chlewu z majątku hrabiego Tomaszewskiego i wszystkich dwudziestu małych, biedniackich chlewów w sąsiedniej katolickiej wiosce. W dziele zatytułowanym *Smród i śmierć* Rothstein na półtora tysiącu stron rozpatrywał podobieństwo i różnicę między człowiekiem a świnią i na koniec doszedł do nieco bluźnierczego wniosku, że ludzka nienawiść do świń, tak jak i każda inna nienawiść, jest powodowana smrodem.

*Gdyby pewnego dnia jakimś cudem wszystkim ludziom na Ziemi odebrano zmysł węchu, gdyby taka była wola Jahwe, zapanowałby pokój i powszechny dobrobyt, a bezbożnicy nie witaliby*



*już szablą lub nienawiścią synów Izraela. W smrodzie powstała i nadal mnoży się i rośnie nienawiść ludzi do ludzi i wszystkiego innego, co ludzkie nie jest, a jednak śmierdzi. Gdyby Jahwe wszystkim na Ziemi zatkał nos, nie czulibyśmy już zapachu fiołków czy jaśminu, ale byłibyśmy szczęśliwi i dobrzy dla siebie nawzajem. A czy to znaczy, że we fiołku i jaśminie jest zło? O tym trzeba by rozmyślać w pokorze i uległości...*

Tak filozofował Baruch Rothstein, nieszczęsny nauczyciel w najędźniejszej jesziwie w Galicji, zanim przyszedli Niemcy i tak jak wszystkich jego rodaków przemienili go w dym i w nic. Ale ponieważ jego filozofia nie ma znaczenia dla naszej historii o sowizdrzale Babukiciu i jego czasach, z zalem odkładamy dzieło nauczyciela, może jedynie z radą dla wydawców, żeby je przetłumaczyli i opublikowali. Jeśli zdołają je odtworzyć z dymu, w jaki się przemieniło, wykaszczać z płuc dzikich zwierząt i ludzi, którzy wetchnęli je z powietrzem i dymem, a potem zmienić w ślepy zapis komputerowy, z którego na nowo, w jidysz i skąpym niemieckim Rothsteina, wyrośnie opowieść o smrodzie i śmierci...

Istnieje wiele wersji na temat budowy tej największej w Europie tuczarni świń, a każda mniej lub bardziej wprost wiąże się z dyrektywami wierchuszki sowieckiej partii, a nawet samego Stalina. Według jednej, która po zjednoczeniu Niemiec zwycięży w lokalnych kręgach politycznych i intelektualnych, zwłaszcza wśród pisarzy, wiejskich nauczycieli, ale i sfrustrowanego lumpenproletariatu, zawsze skłonного do wszelkich teorii spiskowych, Sowietci nakazali zbudować tuczarnię w pobliżu miasta i miejsca, gdzie na mapach klimatycznych rozkwita róża wiatrów, które wieją tak, żeby poniżyć i wiecznym smrodem ukarać Niemcy za to, że przegrały wojnę. W Lipsku wcześniej zaczęto o tym mówić, w mieszkaniach, za zamkniętymi drzwiami, do zaufanych słuchaczy. Już w połowie lat pięćdziesiątych zostali skazani pierwsi wrogowie narodu, bo doniesiono na nich, że gdzieś, przeważnie późną porą, w jakiejś peryferyjnej knajpie twierdzili, że z największego chlewu w Europie rozchodzi się smród sowieckich



gówien i że towarzysz Stalin osobiście zdecydował, żeby naród niemiecki udusił się w tym smrodzie.

Druga, szczegółowiej opracowana wersja mówi, że Stalin podjął decyzję o zbudowaniu w tym miejscu tuczarni, ponieważ chciał między wschodnimi i zachodnimi Niemcami stworzyć mur uprzedzeń, który w końcu podzieli ich na dwa odmienne narody. A uprzedzenia, to wiemy, najłatwiej tworzy się za pomocą smrodu. Ponieważ ze strefy amerykańskiej do sowieckiej, czyli z Republiki Federalnej Niemiec do Niemieckiej Republiki Demokratycznej, nie można było swobodnie podróżować, a kiedy było można, ludzie nie mieli specjalnej ochoty na podróże, wielu nie wiedziało, co to za okropna woń szerzy się ze wschodu, ilekroć z tej strony zawieje wiatr. A ci, którzy by wiedzieli o istnieniu chlewni, nadaremnie setki razy powtarzaliby, że to farma świń, bo mało kto by im uwierzył. Ludzie nie chcieli wierzyć w takie nazbyt zwyczajne prawdy. Myśleli, że za wszystkim stoi jakiś większy, ukryty i bardziej ponury powód i przyczyna. Tak było zawsze, uważa nasz pogrążony w malignie Babukić, więc było tak również w Niemczech w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych.

Uwierzili, że to ze wschodu cuchną ludzie.

Jacys brudni, brzydcy i niesympatyczni ludzie, którzy nie wierzą w Boga, donoszą tajnej policji na sąsiadów, są członkami komunistycznej partii i czystym przypadkiem mówią po niemiecku, bo to absolutnie nie mogą być Niemcy.

Śmierdzą, bo się nie myją.

Śmierdzą, bo tak się odżywiają, nędznie.

Śmierdzą, bo w ich wodzie jest za dużo siarki i fosforu.

Śmierdzą nieważne dlaczego, ale śmierdzą.

Śmierdzą, bo to śmierdziele.

Wreszcie należałoby coś zrobić i pozbyć się śmierdzieli.

Na darmo niektórzy rozsądniejsi obywatele Zachodu, mieszkający w pobliżu granicy z NRD, pisali listy czytelników do wszystkich niemieckich gazet i domagali się w nich, prosili, zaklinali, żeby skończyć z tą propagandą i wyjaśnić



narodowi, że kiedy wieje wiatr ze wschodu, śmierdzi olbrzymia tuczarnia typu sowieckiego, że śmierdzą świnie, a nie ludzie, i że ci, co mieszkają po drugiej stronie, nie ponoszą winy za ten smród, bo budowę największej farmy w Europie nakazały sowieckie władze okupacyjne. Na tę decyzję wschodni Niemcy nie mieli żadnego wpływu.

Na darmo stowarzyszenia obywateli razem z zachodnioniemiecką partią komunistyczną organizowały wykłady, rozdawały ulotki na ulicach i placach i na wszelkie możliwe sposoby tłumaczyły ludziom, co tak śmierdzi. Ludzie wierzyli w to, w co chcieli wierzyć. I niektórzy wierzyli, że Stalin nakazał budowę tuczarni, żeby z jednego niemieckiego narodu zrobić dwa. Żeby pewnego dnia, w następnej fazie drogi do komunizmu, jeden niemiecki naród zabrał się do wymordowywania drugiego.

W końcu, na początku lat siedemdziesiątych, pojawili się tacy, co twierdzili, że nie ma tu żadnego smrodu i że wszystko jest skutkiem zbiorowej hysterii, neurozy, politycznie zorganizowanego i generowanego strachu. A smrodu nie ma i być nie może, chodzi o percepcyjne nastawienie. To, co dla nas śmierdzi, może dla innych narodów i kultur pachnie. My delektujemy się zapachem fiołków i jaśminu, ale na pewno istnieją światy, niekoniecznie zbyt daleko, które te zapachy uważają za najgorszy smród. Czy coś będzie wspaniałym aromatem czy strasznym odorem, o tym decydują kultury i tożsamości kulturowe, a one, pamiętajmy i o tym, nieustannie się zmieniają. Więc i te Niemcy nie mogą być Niemcami Goethego, tym bardziej Niemcami Adolfa Hitlera, co musiałyby znaczyć, że dla nas te same zapachy nie pachną tak, jak pachniały w czasach Goethego czy Hitlera. Okażmy gotowość do zmieniania się i dostosowywania, bądźmy ludźmi, a nie histerykami, którzy nie myślą głową, tylko nosem.

I tak trwała dyskusja o wyziewach z wielkiej tuczarni świń na wschodzie, dopóki mur nagle nie upadł, Niemcy się nie zjednoczyły, a farma przestała być własnością państwową i przeszła w prywatne ręce. Właściwie nic się nie zmieniło

